4/2023

Trzy po trzy

Wielkanoc	Goście z niemiec	F.E.T.A.

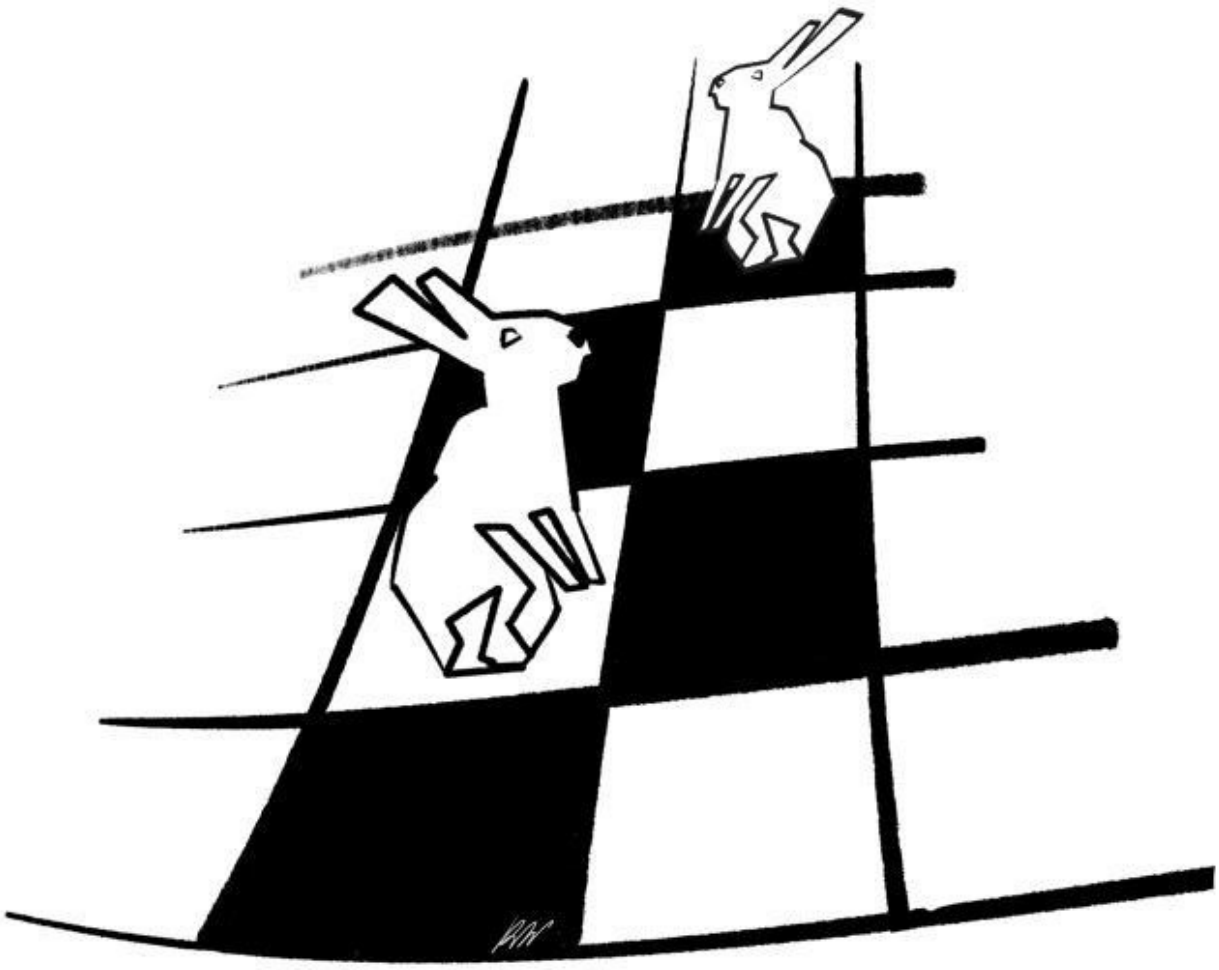

Notka od redakcji

Chciałabym poinformować wszystkich naszych czytelników o tym, że gazetka zakłada INSTAGRAMA!
Robimy to, aby lepiej widzieć co Wam się podoba i o czym chcecie czytać. Konto umożliwi nam lepszy kontakt, np. będziecie mogli pisać do nas z pomysłami, zażaleniami, może nawet podrzucać jakieś dramy, których sami nie wychwycimy...
Zapraszamy do obserwowania naszego profilu: **trzy.po.trzy_3lo** i oczywiście do współpracy jeśli ktoś byłby zainteresowany.

WIELKANOC A OSTARA. CZY RÓŻNICE SĄ NAPRAWDĘ TAK WIELKIE?

Wielkanoc jest uznawana przez katolików za najważniejsze święto w ciągu roku. Dzień, gdy Chrystus zmartwychwstaje, to czas radości i nadziei. Jednak jakie były początki tego święta? Większość katolików zapomina, że nasze współczesne, chrześcijańskie święta są tak naprawdę przetworzonymi świętami pogańskimi.

Poganie świętują w ciągu roku osiem sabatów. Jednym z najważniejszych jest Ostara, która ma swoje miejsce w równonoc wiosenną. Jest to czas, gdy przyroda zaczyna budzić się do życia, a dni stają się coraz dłuższe. W wierzeniach neopogańskich Król Ostrokrzewu przegrywa walkę z Królem Dębu (zwycięstwo światła nad nocą). Trwają świąteczne uczty, palą się świece (symbol trwania i nadziei). Zaczynają się wtedy przygotowania do sezonu zasiewu. Budzimy się tak, jak przyroda i zaczynamy porządkować swoje myśli i otoczenie (stąd wiosenne porządki).

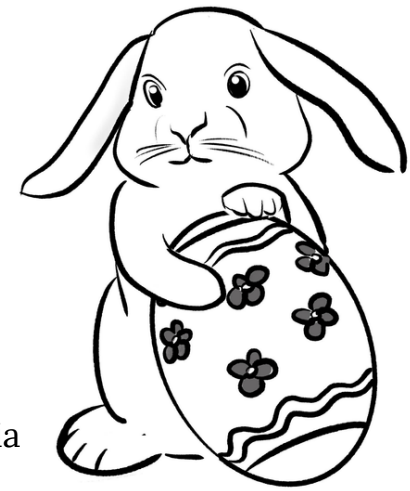

Podczas tego święta poganie ozdabiają jajka oraz odprawiają rytuały, aby pobudzić w sobie energię oraz odnaleźć moc potrzebną do życia i rozwoju.

Ostara to święto bogini Eostre (stąd najprawdopodobniej nazwa angielska Wielkanocy - Easter). Jest ona boginią wiosny, płodności i świtu. Od dawna trwają spory dotyczące tego, czy była ona boginią celtycką, czy niemiecką. Jedyna informacja, jaką podają nam na ten temat źródła historyczne to taka, że czczono ją poprzez uczty.

Ozdabianie jajek wiąże się z jedyną znaną opowieścią o Eostre. W skrócie brzmi ona tak: Pewnego zimowego dnia bogini znalazła zranionego i umierającego ptaszka. Aby go uratować, zamieniła go w zająca, lecz przemiana nie nastąpiła całkowicie. Mimo że wyglądał jak zając, nadal mógł znosić jajka. ajączek ozdobił zniesione jajka, a potem w podziękowaniu podarował je Eostre.

Historia ta wywodzi się z ukraińskiej bajki ludowej.

Współczesną Wielkanoc, jak i Ostarę świętuje się za pomocą symboliki wiosennej: jajek, kurcząteк, króliczków, które akcentują nowe życie (dlatego też zalicza się do tego młode zwierzęta).

A czy waszym zdaniem te święta tak bardzo się różnią? Mimo sporów neopogan z chrześcijanami mamy naprawdę dużo wspólnego. Prawie pewne jest to, że Chrześcijanie przekształcili Ostarę i dodali do niej swoje wierzenia.
~ Osoba

WIOSENNE PORZĄDKI W TRÓJCE

Krokusy rozkwitają, krzewy się zielenią, dzień się wydłuża, a słonecznych dni jest coraz więcej. A co za tym idzie, zyskujemy nowe siły witalne i energię, zachęcające do zmian. Udzieliło się to również naszym drogim nauczycielom. Postanowili zrobić kilka wiosennych porządków, które w tajemniczym stopniu wpłyną na naszą codzienność.

Na przykład Pani prof. Oganiaczyk „poczuła wiosnę we włosach" decydując się na zmianę fryzury (jak widać, włosy „na roszpunkę" wyszły z mody). Za jej przykładem poszły Panie prof. Strzelczak i Pani bibliotekarka.

Odmiennie rozpoczęła wiosnę Pani prof. Chaberska, czyli z rozmachem – niezapowiedzianą kartkówką i stresującym braniem do tablicy (ostrzegamy! niebezpieczeństwo!). Niektórzy zdecydowali się opuścić nas na jakiś czas, zapewniając nam kilka tygodni spokoju. Dziękujemy za to oczywiście Pani prof. Michalak i Panu prof. Dunajczanowi. Nie może obyć się bez życzeń powrotu do zdrowia dla Pani Strzelczak po operacji. Jednak wiosna dopiero się zaczyna, więc pewnie wiele nas jeszcze zaskoczy.

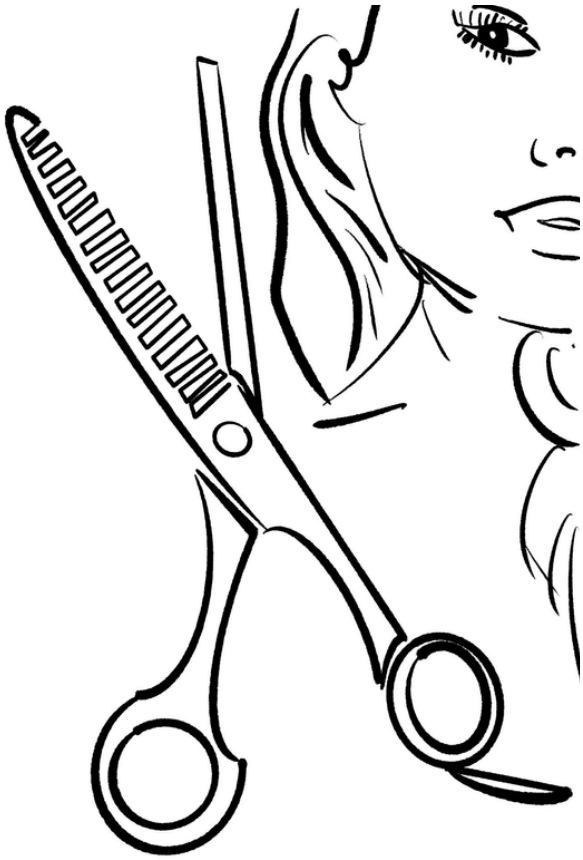

KOMIKS

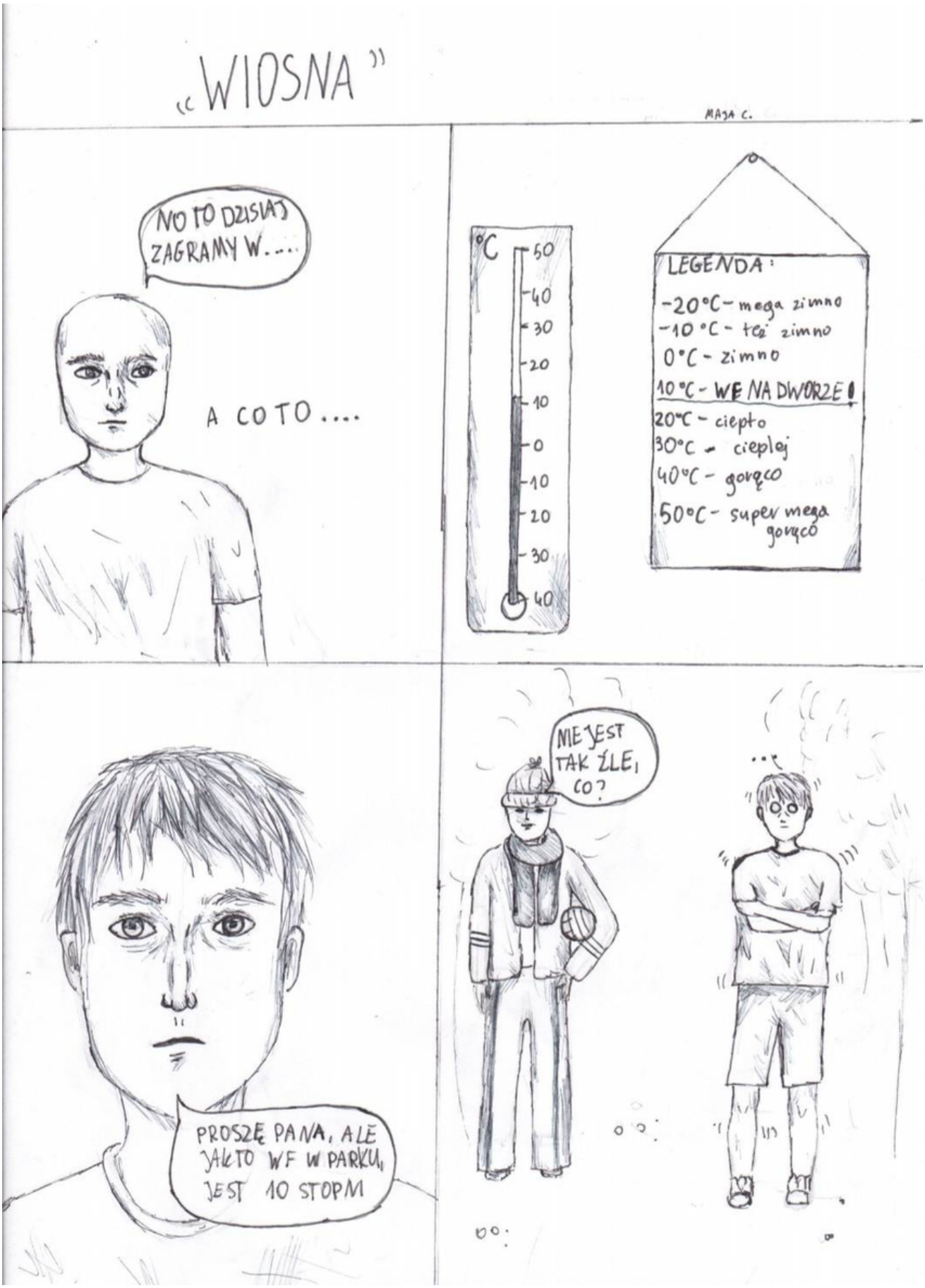
„WIOSNA"
MAJA C.
NO TO DZISIAJ ZAGRAMY W....
A COTO....
°C
50
40
30
20
10
0
10
20
30
40
LEGENDA:
-20°C - mega zimno
-10°C - też zimno
0°C - zimno
10°C - WE NA DWORZE!
20°C - ciepło
30°C - cieplej
40°C - gorąco
50°C - super mega gorąco
PROSZĘ PANA, ALE JAKTO WF W PARKU, JEST 10 STOPNI
NIE JEST TAK ŹLE, CO?

NIEMIEC CZY NIEMKA?

Niedawno brałem udział w wymianie młodzieży polskiej z niemiecką. Były to świetnie spędzone dni i uważam, że czas zaplanowany przez szkołę na zwiedzanie, okazał się strzałem w dziesiątkę (poza łódzkim zoo, które Niemcy opisali jako “sad and boring”), a wieczorami, błądząc po mieście, utworzyliśmy naprawdę przyjemną grupkę. Pozwólcie, że opowiem o zabawnej historii, która mi się przydarzyła. Dotyka ona nieco niewygodnego, lecz wartego normalizowania tematu.

Od prof. Miodownika dowiedziałem się, że jestem jedynym chłopakiem biorącym udział w projekcie, a ponieważ po ich stronie również jest tylko jeden, przydzielił nas do siebie. Dostałem maila swojego kolegi i napisałem, ale nie dostałem żadnej odpowiedzi. Nie widziałem jego zdjęć, nie znalazłem jego social mediów. Nie miałem pojęcia czego się spodziewać.

Gdy na dworcu fabrycznym (po godzinnym opóźnieniu) w końcu pojawili się niemcy, miałem nadzieję, że chłopak mnie odnajdzie, bo w mailu podałem mu moje konta na Facebooku i Instagramie. Po chwili ktoś nieśmiało do mnie podszedł. Niska postać z middle partem w luźnych, vintagowych ubraniach. Wyglądał dużo młodziej, niż się spodziewałem, ale nie zastanawiałem się nad tym specjalnie.

W drodze do domu dużo rozmawialiśmy. Opowiadał o swoim mieście i kraju. Chciał mówić z nami po polsku - miał polskie korzenie i przyjechał tu, żeby szlifować swój “Polnisch”. Bardzo silny akcent sprawiał, że wielu jego słów w ogóle nie dało się zrozumieć.

Kiedy wróciliśmy do domu, a mój kolega poszedł się wykąpać, podeszła do mnie moja mama i zapytała mnie szeptem: ,,To jest chłopak, czy dziewczyna?”. Pytanie nie było bezpodstawne. Jadąc samochodem, miałem wrażenie, że używa głównie zaimków żeńskich - ale to mogła być kwestia akcentu, tak samo mówi przecież mój wujek z Austrii.

Niemieckie imię nie było przypisane do żadnej płci. Wysoki głos brzmiał trochę dziewczęco - z drugiej strony jeszcze bardziej przypominał chłopca przed mutacją. Ubiór, fryzura i sposób bycia wydawały się raczej typowo męskie - a jednak trudno ocenić płeć jedynie na tej podstawie. Być może powinienem wtedy zapytać o zaimki, ale nie zrobiłem tego, bo byłem pewien, że to chłopak. Ostatecznie to właśnie powiedział mi pan Miodownik. Stwierdziłem, że może jest transpłciowy lub po prostu młodo wygląda.

Sprawa się skomplikowała, kiedy następnego dnia usłyszałem od wyżej wspomnianego nauczyciela słowa „Jasiu, przepraszam cię, ale myślałem, że to będzie facet". Wtedy w moich oczach Niemiec stał się już bardziej Niemką, ale ciągle nie byłem pewien. W końcu mógł to być przecież trans chłopak, w dokumentach ciągle zapisany jako kobieta. Po dwóch dniach znajomości głupio mi było zapytać jej o zaimki. Oczywiście to żaden wstyd, ale coś we mnie nie pozwalało mi się przyznać, że przez ten cały czas nie byłem pewien. Szczerze mówiąc, od tamtej pory starałem się unikać czasowników zdradzających płeć w rozmowie z nią.

Zapytałem jej znajomych ze szkoły - najzabawniejsze było to, sami nie byli do końca pewni. W języku niemieckim nie ujawnia się to tak bardzo, jak w polskim. W końcu jednak usłyszałem: „myślę, że to dziewczyna, po prostu lubi krótkie włosy".
Od tamtej pory zwracałem się do niej zawsze zaimkami damskimi. Wymiana dobiegła końca, pożegnaliśmy się i wróciliśmy do naszej codzienności.

Janek

P.S. Błagam, nie mówcie Niemcom.

TURNIEJ SZACHOWY

Nawiązując do ostatnio odbytego, popularnego wśród uczniów turnieju szachowego, chciałabym na forum odnieść się do jego dezorganizacji i niekompetencji jego organizatorów. System łączenia szachistów w pary był losowy, a rozgrywki prowadzone były na dwudziestominutowych przerwach w auli.

Szachy to sport, który wyjątkowo wyróżnia się na tle innych dyscyplin sportowych. Większość zawodników - mniej lub bardziej doświadczonych - zdaje sobie sprawę z tego, że bardzo częstym zjawiskiem podczas rozgrywki szachów jest remis.

Dochodzi do niego między innymi poprzez porozumienie obu zawodników, którzy zgadzają się na takowe rozwiązanie rundy. Zazwyczaj następstwem tego jest kolejna gra, która ma wyłonić zwycięzcę. Uczniowie nie będąc pewni, czy taka zasada również zostanie zastosowana na naszych szkolnych zawodach, dopytali o to pod postem na Facebooku, który ogłaszał nabór zawodników do zawodów. Na pytanie jednego z potencjalnych zawodników "A co w przypadku remisu?", organizator i tym samym przewodniczący szkoły odpowiedział, że gdy dojdzie do remisu, rozgrywka zostanie powtórzona. Ku zdumieniu wszystkich uczestników nastąpiła odwrotna sytuacja. Podczas jednej z pierwszych rozgrywek doszło do wspomnianego wcześniej remisu. Jednakże, przewodniczący odparł, iż ich zawody nie przewidują remisów. Nakazał również kontynuowanie gry do momentu wyłonienia zwycięzcy. Było to zupełnym zaprzeczeniem jego wcześniejszych słów i wyraźnym utrudnieniem dla grających,

którzy nie byli świadomi nagłej zmiany zasad turnieju. Z niewyjaśnionych przyczyn, po zauważeniu niesłowności przewodniczącego, post został usunięty. Czy w takim razie ten turniej faktycznie możemy nazwać szachowym, skoro zawodnicy zostali pozbawieni kluczowej części oraz jednocześnie jednej z ważniejszych zasad rozgrywki i taktyki szachowej?
~ Prokurator

DZIEŃ LUMPOWANIA

Zima dobiega końca, a na dworze robi się coraz cieplej, nastała więc pora na zrzucenie większości ciepłych warstw i wyeksponowanie wiosennych stylizacji. A gdzie najlepiej szukać nowych stylówek, jeśli nie w lumpeksach?

Rady dla początkujących lumpowiczów

- Wybierając się na lumpy, przede wszystkim pamiętaj, aby uzbroić się w cierpliwość. W poszukiwaniu idealnego ciuszka czasami trzeba poświęcić wiele czasu i energii, aby przebrnąć przez góry ubrań i odnaleźć wymarzony outfit.
- Wdziej luźny strój. Odzieży zakupionej w takim sklepie nie można zwrócić, dlatego dobrze jest ją wcześniej przymierzyć. Na taką wyprawę, najlepiej jest więc założyć wygodne ubranie bez tysięcy guzików, sznurków i zatrzasków, żeby w przymierzalni móc je sprawnie zdjąć i założyć.
- Weź ze sobą żel do dłoni. Wydobywanie perełek w lumpach może ubrudzić nieco dłonie, ponieważ ubrania te są używane i nie są przewożone w foliach i kartonach.
- Zamiast małej torebeczki weź plecak. Podczas poszukiwania skarbów między wieszakami wygodniej jest mieć wolne ręce, a jeśli masz plany zrobić porządne zakupy, lepiej będzie się je nosiło w czymś innym niż darmowej foliówce (plus jest bardziej ekologicznie!).

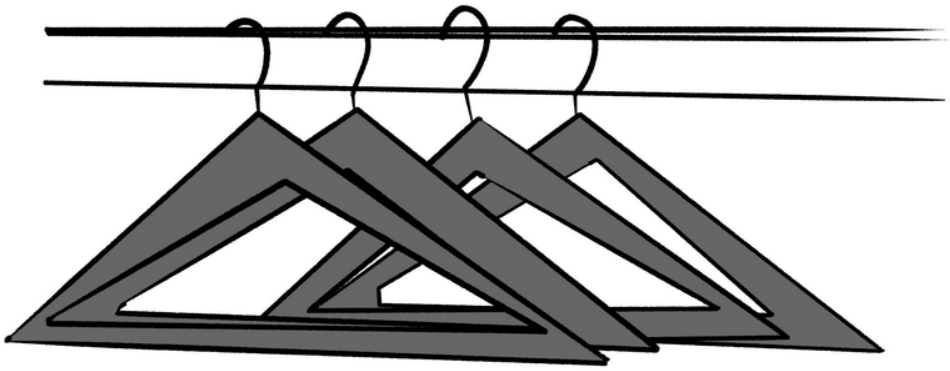

Gdzie się wybrać?

Jeśli już w szkole poczujemy nieposkromioną chęć rozszerzenia zasobów swojej szafy, doskonałą miejscówką do uczynienia tego jest **“Dukat”** przy ulicy Piłsudskiego 6, czyli chyba największy odwiedzony przeze mnie lumpeks, w dodatku zaledwie 10 minut drogi spod naszej szkoły.

Trzy przystanki tramwajowe dalej, bo na Wileńskiej 38, znajduje się **“Retro”**, ze wspaniałym asortymentem, we wtorki nawet po 2 zł za sztukę! Spacerując kolejne 10 minut natkniemy się na cudowny sklep z odzieżą używaną o zagranicznie brzmiącej nazwie **“Hand from London”**, podobno odwiedzany przez gwiazdę taką jak Michał Wiśniewski.

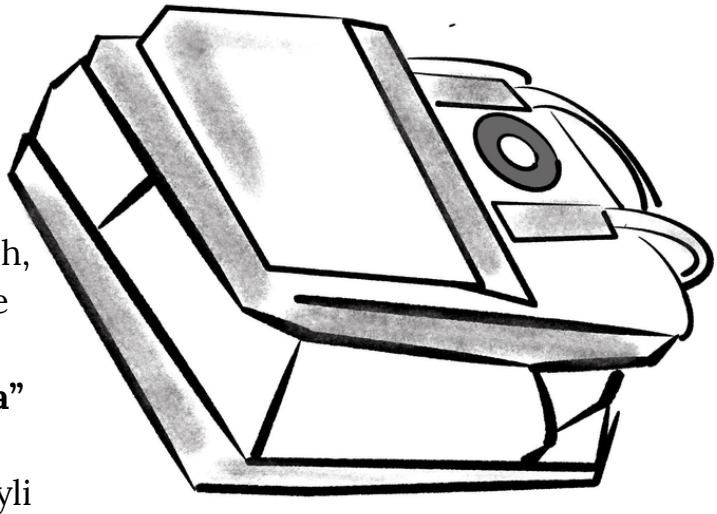

W drugiej części Łodzi, na przepięknym osiedlu zwanym Teofilów, występują aż dwa (według mnie) najlepsze lumpeksy w tym mieście. Pierwszym z nich jest **“Druga szansa”** na Łanowej 85, gdzie, co rzadko spotykane w innych wymienionych pozycjach, można odnaleźć najpiękniejsze przyodzienie bez znacznego wysiłku i przekopywania się przez zwały ubrań. Drugim jest **“Nasza Moda”** na Rydzowej 12, gdzie prawie każdego dnia (nawet w dni z przecenami do -50 i -70% czyli środy i czwartki) zagęszczenie ludności wynosi mniej więcej jednego człowieka na alejkę sklepową.

~ Bob

FESTIWAL EKSPRESJI TWÓRCÓW AMATORÓW

Jak *wszyscy wiemy* z reklam w komunikacji miejskiej, trzydziestego pierwszego marca zakończyła się XXVII edycja F.E.T.Y. Mam przyjemność poinformować, że z sześciu prac wysłanych przez uczniów naszej szkoły aż cztery zdobyły nagrody - i to nie byle jakie nagrody!

W kategorii literackiej:
Pierwsze miejsce - Aleksandra Ludwiczak, 2a
Trzecie miejsce - Wieczorek, 2a
Wyróżnienie - Apolonia Chętko, 2a
W kategorii plastycznej:
Trzecie miejsce - Stefania Mierzejewska, 2a

W porozumieniu z autorami nagrodzonych prac mogę podzielić się nimi z naszymi drogimi czytelnikami. Oto one:

Dla Ciebie
Aleksandra Ludwiczak

Dziś rano o godzinie piątej trzydzieści spadły bomby na przygraniczne miasto...

*

Przesuwam wzrokiem po spakowanym plecaku i walizkach. A potem po salonie za nimi. Ostatni raz. Wszystko jest takie ciche, takie znajome, takie obce. Zielone ściany, które moja żona od lat chciała przemalować. Wytarta skórzana kanapa i dwa fotele. Stary, szklany stolik pomiędzy nimi. Mały telewizor wiszący na ścianie naprzeciwko.

To z niego po raz pierwszy usłyszeliśmy te straszne wieści. A niedługo potem w skrzynce znalazłem list, który nie pozostawiał złudzeń. Mam się stawić w punkcie poborowym. Dzisiaj.

Moja żona, w długiej, ciemno brązowej spódnicy schodzi po schodach, swoimi krokami przerywając tą nieruchomą ciszę. Na beżową bluzkę spływa jej złoty warkocz. Trzyma w chuście dziecko. Naszego trzymiesięcznego synka, który śpi spokojnie przy piersi matki, wyglądając jak cherubinek. Serce ściska mi się na widok ich, za spakowanymi walizkami.

Wzięliśmy ślub zaledwie dwa lata temu. Usilnie staraliśmy się o dziecko, przez długi czas. Urodził się piękny, silny chłopiec o płucach jak miechy. Kiedy zobaczyłem ich w szpitalu, moje serce na chwilę stanęło. Przepełniała mnie miłość, do Anny, do syna, tak głęboka, że nie sądziłem, że naprawdę istnieje. Myślałem dotąd, że to wytwór autorów książek i reżyserów filmów. Z moich oczu płynęły łzy, kiedy podszedłem do nich, by wziąć *mojego syna* po raz pierwszy w ramiona.

Jeden z dwóch razów, kiedy naprawdę płakałem.

Drugi jest teraz, kiedy podchodzą do mnie, między walizkami. Nawet nie zdaję sobie sprawy, że łzy spływają po moich policzkach, dopóki Anna nie wyciąga ręki, by je otrzeć.

- Nie płacz - mówi stanowczo, ale w jakiś sposób miękko. Głos ma jak miód. Taki sam jak w dniu, gdy zauroczyła mnie po raz pierwszy. Ściska mi się gardło. - Tak należy postąpić. Pamiętaj, o co walczysz. O nas.

Jej uśmiech jest łagodny, ale oczy smutne. Figlarnie targa mi włosy.

- A poza tym obiecałeś, że zbudujesz dla Igora huśtawki - dodaje.

Chłopczyk, którego trzyma, budzi się na dźwięk swojego imienia i patrzył na mnie tymi wielgachnymi, niebieskimi oczętami. Wie, że dzieje się coś niedobrego, widzę to w tych oczach. Nie płacze, nie krzyczy, nie robi nic, co zrobiłby zwykle po przebudzeniu. Po prostu patrzy. A ja staram się uśmiechnąć, wbrew sobie.

- Dobrze spałeś, mistrzu? - szepczę do niego łagodnie. Chichocze.

Wyciąga malutką, pulchną rączkę i łapie mój palec. Ma niewiarygodnie silny chwyt. Wiem, że wyrośnie na odważnego, dobrego mężczyznę. Po prostu to wiem, w sposób, w jaki ojcowie wiedzą takie rzeczy o swoich synach. Patrzę na niego i staram się zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Miękkie, złote włoski. Wielkie błękitne oczy. Jasna, gładka skóra. Sposób w jaki gaworzy, w jaki śmieje się, kiedy się z nim bawię. Uścisk maleńkiej rączki na palcu. Wyraz, który przybiera jego twarz, kiedy na mnie patrzy.

Anna wyciąga rękę i podnosi moją brodę, bym na nią spojrzał. Uśmiecha się. I uśmiech tym razem sięga jej oczu. Delikatnie podtrzymując chustę z dzieckiem, pochyla się i łączy nasze usta. Są miękkie i słodkie. Mimo, że stoimy nad walizkami w przedpokoju, gotowi do wyjazdu, ogarnia mnie domowe uczucie. Znajome, jak stary płaszcz, ciepłe niczym słońce w letni poranek. Ale pocałunek nie trwa długo. To tylko zwykłe muśnięcie warg. Śmieje się cicho, kiedy znów staje krok ode mnie, a ja bezwiednie idę za nią.

- Nie żegnamy się, kochanie - mówi.

Chcę coś powiedzieć, ale najpierw muszę przezwyciężyć gulę w gardle. Moment przemija.

- Wszystko gotowe? - pytam w końcu, poważnie. - Zabrałaś wszystkie dokumenty? Jedzenie? Zabawki Igora?

- Sam przecież wszystko sprawdziłeś - przypomina mi. - Jest okej. Damy sobie radę.

I kiedy mówi “my”, najpierw myślę, że mówi o naszej trójce. A potem zdaję sobie sprawę, że to nowe “my”. Wojenne “my”. “My”, w którym jestem daleko.

- Wiesz, gdzie jechać - mówię tylko. A potem pod wpływem ucisku w sercu dodaję: - Kocham cię.

- Kocham cię - odpowiada. Z całym uczuciem, jak zawsze. Nigdy mniej. - Już czas.

Miękkie, domowe uczucie znika. Pozostaje chłód.

Zarzucam na ramię plecak. Jest ciężki. Biorę jedną walizkę za rączkę. Ona drugą. Wychodzimy na ganek. Nie rzucam ostatniego spojrzenia na przedpokój i salon. Zamykam drzwi, przekręcam klucze w zamkach. Zakładam na szyję ukochanej smycz, na której wiszą.

Pakujemy walizki do bagażnika naszego małego samochodu. Patrzę, jak moja żona zapina naszego syna w foteliku. A potem całuje mnie po raz ostatni.

-Do zobaczenia - mówi beztroskim tonem, jak wtedy, kiedy idę tylko do pracy. - Kocham cię.

- Też cię kocham - odpowiadam przez ściśnięte gardło.

Tak po prostu wsiada do samochodu i odjeżdża. Na zachód, w stronę dużego miasta daleko stąd, gdzie mieszka jej kuzynka, która zgodziła się przyjąć ją i Igora na jakiś czas do siebie.

Przeczekać niebezpieczeństwo. Kilka tygodni. Aż będzie można bezpiecznie wrócić do domu na wschodzie.

Stoję jak wrośnięty w trawę naszego podwórka jeszcze dłuższą chwilę i wpatruję się w drogę, którą przed chwilą odjechała. Potem, bez rzucania ostatniego spojrzenia na dom, również odchodzę. Pieszo, do małego miasta niedaleko. Do punktu poborowego.

*

Ciężarówka podskakuje na zniszczonej, betonowej drodze. Dookoła mnie co i rusz rozlegają się nerwowe śmiechy, cały czas trwają rozmowy, ale nie słyszę ich treści. W moich uszach to wszystko, w połączeniu z kołysaniem samochodu, zlewa się w biały szum.

Siedzę z brzegu, przy jednym z okien. Ciężarówka jest przystosowana do wożenia żołnierzy na front. W środku jest ciasno. Wszystkie miejsca zajęte są przez młodych mężczyzn, ich wielkie plecaki i broń. Tyle rodzajów pistoletów stłoczonych w jednej małej przestrzeni sprawia, że jestem nerwowy. Wszyscy są. Mimo podstawowego szkolenia, które przeszliśmy w ostatnim czasie, nikt tak naprawdę nie czuje się pewnie z karabinem w dłoni.

Ledwie zakończyliśmy szkolenie, posłano nas na front. W sam środek działań, do jednego z atakowanych miast. Nie ma czasu, by czekać. Nie ma lepiej przygotowanych ludzi, by posłać ich zamiast nas. Liczy się każda para rąk zdolnych, by bronić kraju. Racjonalnie to wiem. Ale emocjonalnie pragnę zapaść się w sobie, udawać, że mnie tu nie ma. Że to wszystko mnie nie dotyczy. I powtarzać sobie, że jeśli wystarczająco w to uwierzę, to stanie się rzeczywistością.

Do tej pory nic z tego nie wydawało się realne. Nawet oficerowie i szkoleniowcy, których widziałem. Nawet to, że uczyłem się obsługiwać prawdziwą broń. Nosiłem prawdziwy mundur. Zrywano mnie w środku nocy na prawdziwą musztrę. Tamto wszystko wydawało się jakimś nowym rodzajem dziecięcej zabawy, sztuczką, która zniknie. Prędzej czy później.

To, wojskowa ciężarówka, mundur, plecak wypchany jedzeniem i amunicją, histeryczne śmiechy, to jest przerażająco realne.

Czuję się, jakbym zderzył się boleśnie z ziemią, podczas gdy do tej pory dryfowałem beztrosko w chmurach.

Kiedy się przysłuchuję, wychwytuję skrawki rozmów. Niektóre przerażają mnie jeszcze bardziej, niż sama sytuacja.

“Jak myślisz, ilu ich będzie? Mówią, że trzy razy więcej niż nas, ale za to zupełnie bezmyślnych!”

“Ilu zabijemy?”

“Jak tylko jakiegoś zobaczę, nie pożyje nawet trzech sekund”

“Boisz się?” “Kto, ja? W życiu!”

“Ale będziemy mieli opowieści dla dzieciaków! Mój synek nigdy nie uwierzy, że jego tatuś naprawdę był na wojnie!”

Nagle chce mi się krzyczeć. Możemy nie przeżyć tak długo, by opowiedzieć o tym dzieciom. I oczywiście, że powinniśmy się bać! Czy ani jeden z tych tępaków nie rozumie, że wysłali nas właściwie na śmierć? I nikt na górze hierarchii wojskowej po nas nie zapłacze, może ewentualnie po utraconym sprzęcie. Jak oni wszyscy mogą siedzieć spokojnie i dyskutować o tym, ilu tamtych zabiją, podczas gdy wisi nad nimi groźba, że zginą nim oddadzą pierwszy strzał? I dlaczego do cholery jasnej dowódcy po prostu siedzą, wyglądając przez okno, jakby nic się, kurwa, wielkiego nie działo?!

Wtedy jak na zawołanie coś się zmienia. Droga staje się bardziej wyboista, jakby coś naprawdę powyrywało w nawierzchni dziury z prawdziwego zdarzenia, a nie tylko drobne szczelinki. Dowódcy zaczynają coś do siebie szeptać. Napięcie w ciężarówce z nerwowego wyczekiwania staje się sztywną ciekawością, niepewnością co się dzieje. Rozmowy się urywają, wszyscy starają się usłyszeć, o czym rozmawiają przełożeni. Niektórzy wyglądają za okna, starając się dostrzec różnicę w krajobrazie. A potem rozmowy rozlegają się ponownie, ale nerwowym szeptem, jeszcze bardziej przypominając mi biały szum.

Tym razem staram się zachować czujność. Bezwiednie spinam wszystkie mięśnie. Podskórnie wiem, że zaraz coś się wydarzy. I to samo podskórne przeczucie podpowiada mi, że coś niedobrego. Być może dojeżdżamy. Chociaż jestem przerażony tą perspektywą, byłoby to nadwyraz oczekiwane, bo jedziemy od wielu długich godzin. Ale tak naprawdę pozostaje mi robić to, co inni, czyli czekać.

Mimowolnie wpadam w trans, w którym nie myśli się o niczym, po prostu patrzy przez okno, nie widząc krajobrazu migającego za oknem. A wtedy znów coś się zmienia. Dowódca drużyny odwraca się. Mierzy wzrokiem wszystkich po kolei. Zmiana nastroju, wyraźna jak narysowana czarnym markerem, przywraca mi świadomość. Cała drużyna wije się pod spojrzeniem dowódcy, nieubłaganym, jakby wydawał na każdego po kolei wyrok śmierci. Może i tak jest. W końcu to wojna. A może to jego sposób na powiedzenie "do widzenia" tym, którzy już nie wrócą.

Patrzy na mnie, a ja staram się pokonać odruch wzdrygnięcia. Jego wzrok jest twardy, zupełnie bez emocji. Może nawet zrezygnowany. Kapitan jest starszym człowiekiem z niewyobrażalnie długim stażem wojskowym. Ma ogorzałą twarz, pooraną bruzdami. Bije z niego jakiś autorytet, jakaś mądrość, jakaś ostateczność, jak z kata trzymającego topór. Budzi się we mnie myśl, że wszyscy zginiemy. I znów pragnę zapaść się w sobie i zniknąć. A potem mężczyzna wzdycha.

– Macie dzieci? – pyta nagle, a głos nijak nie pasuje do jego wyglądu. Jest łagodny. Tak myślałem na początku szkolenia i nadal tak uważam. Wciąż mnie to zaskakuje, kiedy się z rzadka odzywa.

Wszyscy żołnierze patrzą po sobie zaskoczeni. Z tego co wiem, większość ma dzieci. A że jest to drużyna młodych mężczyzn, w większości małe. Czasem dopiero w drodze. Z przenikliwym bólem serca przypominam sobie mojego Igora.

– Też mam dzieci – znów wzdycha. – Mój syn ma już dzieci. Najmłodsze ma pięć lat. Najstarsze ma czternaście. Starzeję się.

Ponownie spoglądamy po sobie. To już? Chciał się jedynie pochwalić potomstwem? Jesteśmy zdezorientowani. A dowódca milczy dość długą chwilę, byśmy uznali, że się już nie odezwie.

– Są bezpieczne? – dopytuje znienacka, znów spoglądając na każdego po kolei.

Część kiwa głową, mniej lub bardziej zdecydowanie. Inni nie są przekonani, albo wręcz kręcą głową z rezygnacją. Nagle robi mi się żal. A potem robię się wściekły.

– Jesteście tu dla nich, wiecie o tym? – drąży kapitan.

Coś podobnego powiedziała mi żona. Że tak trzeba, dla dobra naszego syna. Łzy napływają mi do oczu, ale mówię sobie, że nie mogę płakać, nie przy tych wszystkich obcych, którzy jakoś się trzymają.

– Za każdym razem, kiedy idę do walki, przypominam sobie każde dziecko po kolei – ton dowódcy przybiera nostalgiczną nutę. Wzrok się zamazuje, jakby był gdzieś daleko. – Moją córkę. Mojego syna. Mojego wnuka i dwie wnuczki.

Momentalnie przed oczami staje mi obraz Igora w ramionach Anny, tego dnia, kiedy po raz ostatni ich widziałem. Do tej pory starałem się go nie przywoływać, nie myśleć ani o niej, ani o nim. Zamknąłem wszystkie dobre wspomnienia w sejfie na dnie pamięci. Bezpiecznie, ale daleko. Czuję niemal fizyczne cierpienie. Nie chcę tego, ale zastanawiam się, czy są bezpieczni. Czy kuzynka mojej żony traktuje ich dobrze. Anna mówi, że tak. Jezu, chciałbym tam być i się nimi zaopiekować!

Reakcje innych są skrajnie różne. Jedni, jak ja, mają łzy w oczach i wyraz bólu na twarzach. Inni zwieszają bezradnie głowy. Jeszcze inni wpatrują się w dowódcę ze stalą w oczach. Kąciki ust starszego mężczyzny unoszą się odrobinę w jego autorskiej parodii uśmiechu.

– Tak, widzę ogień – mówi zadowolony. – Wykorzystajcie go. Lata w wojsku nauczyły mnie realizmu. Wielu z was zostanie zabitych, wielu innych rannych. Ale nasze dzieci mają przyszłość, która zaczyna się, kiedy wy giniecie za ich bezpieczeństwo. I to czyni nas niebezpiecznymi. Tamci – macha ręką za okno, jakby byli tam nasi wrogowie. – Są nieprzewidywalni, pamiętajcie. Nieprzewidywalni i bezlitośni. Jeśli chcemy obronić przyszłość naszych dzieci i kraju, musimy być od nich jeszcze gorsi – z wolna rozlegają się aprobujące pomruki. Dowódca przerywa na chwilę, pozwalając im wybrzmieć. – Za piętnaście minut wysiadamy – dodaje jeszcze.

Powtarza swoją parodię uśmiechu i zadowolony z siebie odwraca się znów przodem do kierunku jazdy. Wie, że jego żołnierze są teraz zmotywowani do walki.

Wszyscy potakują gorliwie. Szeptane rozmowy przerażają mnie swoją brutalnością.

"Jak tylko jakiegoś zobaczę, nie będę się zastanawiał"

"Nie będzie wiedział, co go trafiło ani z której strony"

"Jeden nasz jest wart co najmniej kilkunastu tamtych, jaki problem będzie zabić i dwudziestu?"

"Słyszałem, że znaleźli cały budynek martwych, torturowanych naszych. Cywili! Zobaczymy jak się poczują, kiedy role się odwrócą"

Kapitan potakuje odprężony na swoim siedzeniu. Ciężarówka się trzęsie. Szum rozmów nie ustaje, w moich uszach nasila się i nasila. Każda sekunda przybliża nas do nieuniknionego, a mnie chce się krzyczeć. Oni wszyscy naprawdę tak myślą? Że zabijanie będzie takie cudowne? Że postępujemy właściwie? Uderza mnie, że nie mamy wyboru. Chcę myśleć, że każdy z nich robi to dla kogoś. Uświadamiam sobie nagle, że moje serce wali jak młotem, oddech nieświadomie przyspiesza. Obrazy za oknem zamazują się i nagle nieruchomieją. Drzwi samochodu otwierają się i tak po prostu jesteśmy na miejscu.

*

Biegniemy.

Wszędzie dookoła słyszę wystrzały. Huk bomb. Salwy z karabinów. Wrzaski raniących i jęki rannych.

Słyszę swój własny ciężki oddech.

Ani jeden dzień treningu nie przygotował mnie na to piekło na ziemi.

Ledwie dołączyliśmy do walki, zmieniając poprzednią drużynę. Ich twarze nie wyrażały nic. Żadnego cierpienia. Żadnego smutku. Jedynie głęboką rezygnację. Wszyscy bez wyjątku byli poranieni i brudni. Było ich o wiele mniej, niż nas.

Od razu zaczęliśmy biec. I już nie przestaliśmy. Oddech palił mi płuca jak żywy ogień.

Co jakiś czas migał mi mundur jednego z tamtych, ledwie rozpoznawalny w pędzie, unoszącym się kurzu i dymie. Ledwie widziałem nawet tego z mojej drużyny, który biegł przede mną.

Myliłem krok ilekroć za mną rozlegał się wystrzał. Za często. Za blisko. Inni krzyczeli do mnie, bym nie zostawał w tyle. Potykam się. Wstaję. Biegnę. Potykam się. Wstaję. Biegnę. Wystrzał karabinu. Wybuch gdzieś daleko. Bliżej. Krzyki w innym języku.

Zmuszam ciało do nieludzkiego wysiłku, byle nie zwolnić, nie dostać się w ręce wroga. Dawno już przestałem zastanawiać się, dokąd biegnę. Ściskam swój karabin jak największy skarb, ale nie robię z niego użytku.

Nie będę zmyślał. Jestem przerażony. Nie, nie przerażony. Człowiek nie zna słowa mogącego opisać to uczucie. Nie wiem czy w jakimkolwiek języku, ludzkim czy też nie, są słowa mogące opisać okropieństwa tej wojny. Jakiejkolwiek wojny. Słowa mogące opisać ten przenikający aż do kości, mącący umysł strach, podszyty nerwowym oczekiwaniem na cios.

Nagle orientuję się, że znów straciłem równowagę. Uderzam twarzą w ziemię. Nawet nie wiem, czy mój nos jest cały. Wizja mi się rozmazuje.

Nagle orientuję się, że jestem sam. Reszta drużyny pobiegła dalej. Nie zauważyli, że upadłem.

Nagle orientuję się, że już nie jestem sam. Ale to nie jest nasz mundur. Nie znam tej twarzy. Ledwie rozumiem język, w którym warczy jakiś rozkaz.

W następnej sekundzie leży na ziemi. Moje ręce się trzęsą, zaciśnięte na karabinie. Czas się zatrzymuje. Zgiełk ustaje. Nic nie wybucha, nikt nie krzyczy. Przynajmniej moim uszom tak się wydaje.

Przez mój zamglony, wypełniony zgiełkiem bitwy i kurzem wzniecanym przez wojskowe buty umysł przemyka myśl, że coś mu się stało. Podrywam się i już klęczę obok niego.

Na jego piersi, nieco po lewej stronie, bardzo szybko rozlewa się czerwona plama. Kiedy dotykam jej palcami, jest ciepła. Krew, uświadamiam sobie ze zdziwieniem.

Zupełnie spokojnie myślę, że on już nie żyje. Utrata takiej ilości krwi zabije go za kilka minut, o ile już go

nie zabiła. Dziwi mnie, jak sprawnie w takiej sytuacji działa mój umysł. Jak szybko, jak przenikliwie.

Następną refleksją jest to, że ja go zabiłem. Tak musi być. To jedyne wytłumaczenie. Nie mam pojęcia, kiedy wystrzeliłem ani jakim cudem trafiłem go prosto w pierś, ale taka jest prawda. Nikogo innego nie było za mną w chwili, kiedy padł.

Zastanawiam się, czy powinienem coś poczuć. Cokolwiek. Bo nie czuję nic. Wpatruję się w plamę czerwieni wykwitającą na piersi prawdziwego, niegdyś żywego człowieka i nie czuję zupełnie nic. Żadnego żalu. Żadnej satysfakcji. Żadnego smutku. Żadnego uniesienia.

Ot, zmarł człowiek.

Kolejna ofiara tej bezsensownej wojny.

Słyszę krzyk w naszym języku gdzieś po prawej, daleko. Czas znów rusza z kopyta, huk wybuchów, wrzaski ludzi wracają do gamy bodźców, które odbieram.

– Rusz się na litość boską! – wrzeszczy ponaglająco ten sam głos po prawej. Dowódca.

Ale nadal jestem zamroczony po tym dziwnym stanie jasności umysłu. Nie wróciłem do rzeczywistości, nie do końca. Zbyt późno reaguję.

W momencie, w którym mam poderwać się z kolan, by znów biec, czuję jak coś maleńkiego z wielkim impetem wbija się w moją pierś. To miejsce wybucha bólem tak silnym, że prawie tracę przytomność.

Przyciskam rękę do serca, a po ułamku sekundy jest już cała czerwona. Nie wiem czemu, ale uznaję to za dziwne.

Zostałem postrzelony.

Przecież przed chwilą to ja postrzeliłem kogoś.

Nagle nad sobą widzę dowódcę. Krzyczy coś, ale nie rozumiem co. Zaczął nagle mówić w innym języku?

Wzrok mi szwankuje. Oddycham urywanie. Wszystkie dźwięki nagle stają się dwa razy głośniejsze. A potem cichną.

A potem nie widzę już dowódcy, nie czuję jego rąk przyciśniętych do rany, nie słyszę, jak wzywa sanitariusza.

Widzę za to huśtawki we własnym ogródku. Widzę promienie słońca, delikatnie rozmywające ostre krawędzie. Widzę mojego syna, ale co najmniej kilka lat starszego, niż gdy widziałem go ostatnio. Widzę moją żonę, ubraną w lnianą bluzkę i szorty. Jej rozpuszczone, złote fale rozsypują się na wszystkie strony, kiedy śmieje się i popycha huśtawkę, na której siedzi Igor. Wydają się tacy szczęśliwi. Beztroscy.

Wtedy Anna odwraca się w moją stronę. Jej uśmiech łagodnieje. Macha do mnie. Igor też macha. Odwraca się z powrotem, żeby zbesztać go za puszczanie linki huśtawki, ale jej oczy nadal błyszczą radośnie. Mały śmieje się dziecięcym głosikiem, ale wypełnia polecenie.

Są bezpieczni. Przynajmniej na tyle bezpieczni, żeby móc się bawić. I są w domu. Robi mi się nieco lżej na sercu.

Po chwili obraz zaczyna ciemnieć, od brzegów, jak podpalona kartka papieru. Robi się zupełnie czarno. Ze zdziwieniem uświadamiam sobie, że umieram. I że umieram dla niego.

Poranna Kawa

Wieczorek

Wstał równo o 6:05, przeciągnął się, założył kapcie i poszedł umyć zęby. Po szorowaniu ich przez dwie minuty zaczął się ubierać. Równo złożone spodnie wraz z koszulą czekały na niego już od poprzedniego wieczoru. Po zawiązaniu krawata nadszedł czas na jego ulubiony moment. Codzienny rytuał. K a w ę.

Mimo tego, iż był bardzo poukładanym człowiekiem, kawa stała się jego pewną obsesją. Nie sam smak, zapach czy lekkie pobudzenie, ale te minuty, gdy ją pił i był to czas tylko dla niego. Czuł się jak w bańce, wewnątrz której panował absolutny spokój.

Zaczął szykować napar. Przygotowywał go ostrożnie, jakby miało od tego zależeć czyjeś życie. Najpierw mielił ziarna w młynku do kawy, uważając, by nie były zbyt drobne. Robił to ręcznie. Nie

wyobrażał sobie, iż mógłby powierzyć tak ważne zadanie jakiejś maszynie. Nigdy też nie szykował tego na zapas. Codziennie rano przygotowywał porcję na jeden kubek. W czasie gdy kawa się parzyła, zajmował się mlekiem. Podgrzewał je, ale nie za bardzo. Miało być ciepłe, nie gorące. Przelewał je do niewielkiego słoika i potrząsał, aby się lekko spieniło. Gdy mleko było już w kubku, bardzo ostrożnie i powoli dodawał pięknie pachnące espresso. Tym sposobem, jego ulubiony napój był gotowy.

Jak każdego dnia, skierował się do swojego dużego, granatowego fotela, stojącego w rogu pokoju dziennego. Tam rozkoszował się smakiem oraz aromatem. Gdy podnosił kubek do ust po ostatni łyk, nagle usłyszał głośny dźwięk za oknem. Gwałtownie się obrócił i niechcący przechylił naczynie tak, że resztka kawy wylądowała na jego idealnie białej koszuli.

- Cholera! - zaklął głośno i zerwał się na równe nogi.

Chwycił ręcznik i zaczął histerycznie pocierać plamę, co tylko pogorszyło sprawę. Nie było innego wyjścia, musiał się przebrać. Długimi krokami podszedł do szafy i zaczął przetrząsać wieszaki. Jak na złość, na żadnym nie było koszuli. Pobiegł do łazienki i wyrzucił wszystko z pralki. Tam było ich kilka, ale wszystkie wygniecione. Nie wyobrażał sobie opuszczenia mieszkania w niewyprasowanym ubraniu. Szybko wyjął żelazko i najszybciej jak potrafił, zajął się doprowadzaniem go do porządku.

Kiedy już rękawy, kołnierzyk, przód i tył były idealnie wyrównane spojrzał na zegarek. Ze zgrozą uświadomił sobie, że powinien był wyjść 10 minut temu. Nienawidził się spóźniać.

Zaczął się ubierać w błyskawicznym tempie. Wybiegając z mieszkania, chwycił tylko szary płaszcz i już go nie było. Robił wszystko, aby w jak najkrótszym czasie dotrzeć do biura, ale nie miał zbyt dobrej kondycji. Zdobył się jedynie na szybki marsz. Sygnalizacja świetlna również mu nie sprzyjała. Dodatkowo w pobliżu budowy chodnik był zamknięty. Widział policjantów rozganiających ludzi oraz ambulans. Choć był ciekawy, co się wydarzyło, wstręt do spóźnień przeważył. Nie zatrzymując się, ruszył dalej. Musiał przejść na około, co jeszcze bardziej pogorszyło sprawę i w rezultacie był na miejscu o pół godziny za późno.

Zanim zdążył dotrzeć na swoje stanowisko, zobaczył idącego w jego stronę szefa. Był on mężczyzną przy kości. Głośnym i lubianym. Oczywiście nie przez wszystkich. Panowie nie przepadali za sobą.

Szef spojrzał na zegarek i wyszczerzył zęby w okrutnym, bezczelnym uśmiechu. Jednak szybko się opanował. Przybrał zatroskany wyraz twarzy i powiedział.

- Ponad pół godziny spóźnienia. Wiesz, jak bardzo cenię sobie punktualność. Obawiam się, że to niestety czas, abyś zabrał swoje rzeczy. - powiedziawszy to, odwrócił się na pięcie i odszedł.

To byłoby na tyle. Żadnego słowa pożegnania, po latach pracy. Żadnego poklepania po plecach. Gdy opróżniał szuflady swojego biurka, czuł wściekłość. Denerwował go brak sprawiedliwości na świecie. Wiedział, że był dobrym pracownikiem. Zwolniono go z powodów osobistych, których podłoża nie rozumiał. Nigdy nie pomyślał, że jego stoicki spokój i nieśmiałość mogą być irytujące. Nie dlatego, że był głupi. Po prostu sam nie zwracał uwagi na takie rzeczy.

W złym humorze skierował się do domu. Już, gdy wchodził po schodach, dopadło go jakieś dziwne uczucie. Zobaczył, że drzwi do jego mieszkania są niedomknięte. Przyśpieszył kroku. Otworzył je na oścież, a w środku zobaczył ogromny bałagan. Potłuczone naczynia i książki na podłodze. Krzesła i stół wywrócone. Szuflady pootwierane. Wszędzie błoto naniesione z zewnątrz. Niegdyś białe ściany, całe pokryte bazgrołami zrobionymi czarnym sprayem. Po telewizorze nie było śladu. Nie znalazł też laptopa, a nawet części ubrań.

Gdy tak krążył po mieszkaniu, wszystko do niego dotarło. Z powodu pośpiechu nie upewnił się, czy drzwi są dokładnie zamknięte. Już od dawna wiedział, że jeden zamek szwankuje i trzeba go wymienić. Była to jedna z niewielu rzeczy, które zostawił na później. Teraz, patrząc na ten rozgardiasz, bardzo tego żałował.

Stał pośrodku salonu i nie wiedział co ze sobą zrobić. Nie miał pracy ani porządnego mieszkania. Był to zdecydowanie najgorszy dzień w jego życiu. Myśl, że gdyby był ostrożniejszy i nie wylał kawy, to nie doszłoby do tego wszystkiego, wcale nie pomagała.

...
Wstał równo o 6:05, przeciągnął się, założył kapcie i poszedł umyć zęby. Po szorowaniu ich równo przez dwie minuty zaczął się ubierać. Idealnie złożone spodnie wraz z koszulą czekały na niego już od poprzedniego wieczoru. Po zawiązaniu krawata nadszedł czas na jego ulubiony moment. Codzienny rytuał. K a w ę.
Od przebudzenia wiedział, że dziś zamiast wypić ją we własnej kuchni, uda się do kawiarni. Była akurat po drodze do jego pracy. Mógł, nie spóźniając się, posiedzieć w przytulnym wnętrzu dobre 20 minut. Nie przypominało ono w niczym jego pustego, białego mieszkania. Aby nie skracać sobie tego przyjemnego doznania, włożył swój szary płaszcz i wyszedł. Zamknął mieszkanie dokładnie na dwa zamki i bez zbędnego pośpiechu ruszył w dół schodów. Już po chwili otworzył drzwi do swojej ulubionej miejscówki. Otuliło go ciepło, aromat kawy oraz słodki zapach ciastek z czekoladą.
Podszedł do lady. Bywał tu dosyć często, więc wystarczyłoby krótkie „to, co zwykle", jednak on był człowiekiem dokładnym. „To, co zwykle" nie było w jego stylu. Zamiast tego, wypowiedział praktycznie na pamięć wyuczoną formułkę
- Poproszę duże latte na mleku bez laktozy i koniecznie bez cukru.- Nienawidził kawy z cukrem. Nie zwracając zbyt dużej uwagi na osobę za ladą, zapłacił kartą i ruszył do stolika. Tego samego co zawsze, niewielkiego w rogu pomieszczenia.
Nagle zatrzymał się w półkroku. Zobaczył ją i choć jej nie znał, poczuł to. Była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział. Miała na sobie luźny sweter i włosy uczesane w niedbałego koka. On nie dopuszczał sytuacji, w której jego fryzura nie była idealnie równa. Może właśnie dlatego kobieta tak przyciągnęła jego uwagę. A może, gdy spotyka się miłość swojego życia, po prostu się to czuje i uczesanie nie ma żadnego znaczenia.
Pod wpływem tego przeczucia, którego nie dało się zignorować, zrobił coś niespodziewanego. Zamiast usiąść przy narożnym stoliku, zaczął iść w stronę nieznajomej. Nie miał planu, co nie zdarzało mu się nigdy. Po prostu stawiał krok za krokiem, czując, jak jego serce przyśpiesza. Gdy stanął naprzeciwko niej, chciało wyrwać się z jego piersi. Stał i patrzył, nie mógł się odezwać. Czuł coś, czego nie doświadczył nigdy w całym swoim życiu. Kobieta wyczuła na sobie jego wzrok i oderwała się od romansidła, które czytała. On nie sięgnąłby po taką literaturę nigdy. Chociaż miał książki, nie czytał ich prawie wcale. Ograniczał się do gazet i maili z pracy. Gdy cisza zaczęła robić się mocno uciążliwa, w końcu się odważył.
- Dzień dobry. Zdaje sobie sprawę, że może wydawać się to dziwne, ale mam prośbę. Niech przyjdzie tu Pani dzisiaj o godzinie 18. Bardzo pragnę Panią poznać, ale ogromnie śpieszę się do pracy.
Powiedziawszy to, wyszedł. Nie dodał nic więcej, nie wypił kawy. Nie był dobry w rozmowach z kobietami. Jeśli w ogóle można nazwać to rozmową.
Ktoś inny poprosiłby o numer telefonu, lecz dla niego słowa, jeśli nie były wypowiadane na żywo, traciły znaczenie. Ogólnie miał dosyć szczególne podejście do słów. Pomijając pracę, nie używał ich zbyt często. Nie dlatego, że nie umiał nimi nic przekazać. Wręcz przeciwnie. Były zbyt ważne, aby je marnować. Żył z dziwną świadomością ograniczonej ich ilości. Sądził, że jeśli będzie gadał zbyt wiele, któregoś dnia, z jego ust nie wydobędzie się dźwięk.
Dzień w pracy przesiedział, patrząc na zegarek częściej niż zwykle. Był w kawiarni pół godziny przed ustalonym czasem. Usiadł, tym razem przy jej stoliku i czekał. Czuł, że jeśli schowa się w rogu, może ją przegapić. Mijały kolejne minuty, a nieznajoma się nie pojawiała. Chociaż powoli zaczynał wątpić w jej przybycie, nie ruszył się z miejsca. W końcu, nieprzyzwoicie spóźniona, wpadła do kawiarni. Już w tamtym momencie był pewien, że nigdy nie pożałuje czekania. Od razu zauważyła niczym nie wyróżniającego się mężczyznę i ruszyła w jego kierunku.
- Zupełnie nie wiem, o co panu chodzi. W dodatku zachowuje się pan bardzo dziwnie, ale jednak przyszłam. Zaciekawił mnie pan, doprawdy zaciekawił. A i gdyby pana interesowało moje imię, to jestem Baśka. Nie rozumiem, czemu pan zwyczajnie nie poprosił mnie o numer, ale w sumie spodobało mi się

to. Taki tajemniczy. – Wszystkie te zdania wypłynęły z jej ust, jeszcze zanim zdążyła zdjąć puchową kurtkę. A on patrzył. Patrzył i wiedział, że Basia musi zostać w jego życiu. Inaczej straci ono cały swój sens.

Przy Basi zasady dotyczące słów straciły znaczenie. Rozmawiali godzinami. Zdarzało mu się nawet parsknąć śmiechem, co wcześniej wydawało się niemożliwe. Na początku próbował się opanowywać. Szybko jednak porzucił te starania i zaczął śmiać się częściej. Było to zaskakująco przyjemne.

Spotkali się następnego dnia i następnego. W końcu, któregoś popołudnia, przezwyciężył swój lęk i zaprosił Basię do siebie. Gdy się kochali, wszystkie pytania bez odpowiedzi zniknęły, wszystko przestało mieć znaczenie. Przestał odczuwać wiecznie goniący go, nieubłaganie pędzący czas. Po prostu tam był. Spijał z jej ust każdy szept i jęk. Dotykał jej delikatnie, jakby miała zniknąć. Wodził dłońmi po jej plecach, udach i łydkach. Całował jej dłonie, smukłe palce i ramiona pokryte piegami. W niczym nie przypominało to wyczynów, którymi chwalili się jego koledzy z pracy. To było prawdziwe. Najbardziej intensywne i jednocześnie najdelikatniejsze doświadczenie w jego życiu.

Od tamtego dnia robili to bardzo często. Ona zostawała na noc. On patrzył na nią i starał się zapamiętać każdy pieprzyk, bliznę, każdą wypukłość jej ciała. Było perfekcyjne.

Po jakimś czasie przestała wracać do siebie, a jego białe ściany wypełniły się ich zdjęciami i obrazami. Znikąd pojawiło się mnóstwo kolorowych poduszek. A później pojawiło się dziecko. Nie spodziewali się tego, ale byli zadowoleni. Gdy Basia przekazała mu wiadomość, pierwszy raz płakał. Było to dziwne uczucie.

Jego rutyna się nie zmieniła. Wstawał rano, mył zęby, ubierał się, pił kawę. Zawsze o tej samej godzinie wychodził do pracy. Jednak nie przeszkadzało mu to. Codziennie wracał do mieszkania, gdzie pustkę zapełniła miłość i śmiech. Patrzył, jak jego syn wyrasta na młodego mężczyznę i często całował swoją żonę. Był szczęśliwy.

Zdarzało mu się myśleć, co by było, gdyby tamtego dnia nie poszedł do kawiarni. Czy wtedy poznałby miłość swojego życia? zadawał sobie pytanie.

...

Wstał równo o 6:05, przeciągnął się, założył kapcie i poszedł umyć zęby. Po szorowaniu ich przez dwie minuty zaczął się ubierać. Równo złożone spodnie wraz z koszulą czekały na niego już od poprzedniego wieczoru. Po zawiązaniu krawata nadszedł czas na jego ulubiony moment. Codzienny rytuał. K a w ę.

Po dokładnym przygotowaniu przyszedł czas na chwilę spokoju. Jak co dzień siedział w fotelu i pił. Nie łapczywie, na szybko, lecz spokojnie. Łyk po łyku. Wpatrywał się w przestrzeń i cieszył otaczającą go ciszą.

Sprawdził godzinę. Była 6:40. Aby zdążyć do pracy, ale się nie śpieszyć, musiał wyjść w ciągu 20 minut. Oznaczało to, iż miał jeszcze kwadrans, aby delektować się tym bezruchem. Absolutną stagnacją. Mógł odprężyć się całkowicie i pogrążyć we własnych myślach. Ale właściwie i tych, nie było w takich chwilach wiele. Czuł, że otacza go idealna harmonia i wyciszał się, uspokajał oddech. Trwał w takim stanie, aż nie wypił ostatniej kropli kawy. Gdy opróżniał kubek wiedział, że czas się obudzić. Wyrwać z letargu. Choć z pewnym bólem, zrobił to bez ociągania, W końcu był pewien, że to samo czeka go jutro, pojutrze i każdego następnego dnia. Cieszył się na to.

Założył skórzane, eleganckie buty. Zdjął z wieszaka swój stary, szary płaszcz. Punktualnie o godzinie 7:00 wyszedł z mieszkania. Zamknął drzwi, upewniając się, czy w obydwu zamkach klucz został przekręcony dwa razy. Taki miał już nawyk. Nie był w żaden sposób szkodliwy, po prostu przyzwyczajenie. Może przesąd. Taka uciążliwa myśl z tyłu głowy, że gdy tego nie sprawdzi, nie przekręci każdego klucza dwukrotnie, ktoś na pewno się włamie.

Ruszył w drogę do pracy. Mógłby przemierzyć ją z zamkniętymi oczami, ponieważ chodził tędy codziennie, już od kilku lat. Nigdy nie próbował znaleźć skrótu ani sprawdzić, czy czasami żaden autobus nie jechał idealnie pod budynek jego firmy. Pasowało mu tak, jak było. Nie lubił zmian.

Usłyszał czyiś krzyk, dobiegający gdzieś z wysoka.

- Uwaga!
Poczuł nagły, ogromny ból głowy. Upadł na chodnik. Zobaczył ciemność. Nie żył. Tak po prostu.
Kilku przechodniów podbiegło sprawdzić, co się stało. Ktoś krzyczał, żeby dzwonić po karetkę. Jakaś kobieta zaczęła histerycznie krążyć. Niektórzy odwracali wzrok z obrzydzeniem i szli w swoją stronę.
Następnego dnia gazety informowały o niefortunnym wypadku w pobliżu budowy. „Na pewnego mężczyznę spadła z dużej wysokości cegła" pisali. Niektórych to nawet bawiło. Niektórych przerażało. Wielu ludzi myślało „Co za biedy facet, znalazł się w nieodpowiednim miejscu, o nieodpowiednim czasie. Gdyby tak tylko wyszedł parę minut wcześniej lub później albo poszedł inną drogą. Wtedy miałby przed sobą jeszcze całą przyszłość. Z resztą, nie ma co, dobrze, że to nie byłem ja".

Jętki
Apolonia Chętko

Przeszłość mnie buduje, a przyszłość nie przychodzi, jest wyobrażeniem.
Cały czas jest dziś, a my boimy się tego, co nadejdzie.
***
Jesteśmy jak jętki.
Ileś lat wijemy się przez życie jak larwy, a gdy uformują nam się skrzydła,
okazuje się, że jest już tylko dzisiaj.
Dzisiaj i zero przyszłości.
***
Chciałabym, aby przyszłość stawała się w przyszłości.
Myśl o tym, że każde minione dziś mnie do niej przybliża, zasmuca mnie.
Czemu już teraz muszę się do niej przygotować?
Tylko dlatego, że jest nieunikniona?
***
Często myślę o tym, że byłoby o wiele łatwiej, gdyby przyszłość była nieistotna
i liczyłoby się tylko doświadczanie dziś.

Schody
Stefania Mierzejewska